

— Rzucono Pana na głęboką wodę. Teatr ma pełnić równocześnie — i eksperymentalnie — dwie funkcje: scenę stacjonarną skojarzoną z impresariatem. Odpowiada Pan za obie. Co więcej — wszystko razem stanowi kolejną próbę dla teatru, którego byt ciągle stoi pod znakiem zapytania.

— Gdy w Ministerstwie Kultury i Sztuki zaproponowano mi pracę z zespołem grudziądzkim, zrozumiałem, że zadanie jakie przede mną postawiono jest właśnie eksperymentem. Jeśli się to łącznie impresariat i działalności niewielkiej sceny sprawdziło, ów program mógłby być dobrym rozwiązaniem dla wielu teatrów takich jak Grudziądz które mają mały zespół i bardzo mało publiczności. Mimo trudności i oporów sądzę, że taka dwoista działalność daje spore szanse: m. in. uzupełnienia własnej linii repertuarowej przez dobór zapraszanych przedstawień. A jak każdy kierownik artystyczny chciałbym, aby nasz teatr taką linię repertuarową posiadał. Nie w tym sezonie oczywiście, bo stanowiąc o będzie repertuarowy rekonesans, próbę badania: co chwyta, co nie.

— A jeżeli — nie!

— Tym straszy mnie kierownik organizacji widowni. Mówi on, że niezależnie od jakości, ambicji i wykonania — każde przedstawienie jednakowo źle się sprzedaje. Jeśli to prawda — trudno byłoby wybrnąć z sytuacji. Myślę jednak, że nie jest prawdą, iż w Grudziądzu nie ma po-

wiązanych może także na zainteresowanie pracą tego drugiego, skromniejszego zespołu. Oczywiście wiele zależy od jego poziomu i programu. Ideałem byłby taki mariaż, w którym zespół grudziądzki pełniłby rolę sceny małej, powiedzmy — eksperymentalnej.

— Pozwoli Pani, że jeszcze ja będę pytał. A jeśli widz przyjdzie na „Panią prezesową”, a na eksperyment — nie?

— To trzeba działalność skameralizować, zmieniając po części adresata. Niech rolę pozyskiwania „masowej widowni” przejmie impresariat z programem takim jak sceny eksperymentalne, czy grupy nieformalne. Doświadczenie uczy, że ten typ teatru bardzo interesuje młodzież. Rzecz rozbiła się jednak chyba o zespół?

— Mam nadzieję, że i w tym względzie coś się jednak zmieni. Obudzi się chęć do pracy, udzieli jakaś pasja. Trochę się już takie postawy kształtują wśród młodszej części zespołu. Może uda się skrzyknąć trochę ludzi do wspólnej roboty? Przeszkadza w tym parę spraw: brak mieszkań, brak stabilizacji: czy to się utrzyma; niewiara: czy moja sytuacja tutaj jest stabilna. Aktorzy, których chciałem angażować, mówili: pokaż coś, okrzepnij, przyjdziemy. Widzę, że wpadłem jakby w błędne koło, tym trudniejsze, że jestem reżyserem na dorobku, bez nazwiska.

— Pomówmy jednak o konkretach. Co Pan planuje na ten sezon?

# ODRZUCIC SENNE WIZJE

Rozmowa z ANDRZEJEM JÓZEFEM DĄBROWSKIM, zastępcą dyrektora i kierownikiem artystycznym Teatru Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu

tencjalnego widza teatralnego. Może tylko nie satysfakcjonuje go teatr istniejący, żąda lepszego, sławniejszego? Gdyby tak było impresariat byłby atrakcyjnym magnesem. Zamierzam w ten sposób sezon rozpocząć — zapraszając do Grudziądza „Wesele” z Teatru Polskiego w reżyserii Dejmką.

— I co?

— Niestety, zapraszać możemy jedynie spektakle, w których obsada i obsługa techniczna nie przekracza 50 osób.

— Ogranicza to jakby możliwość prezentacji wielkiego repertuaru...

— Oczywiście. A z zespołem, który mam, wielkiej literatury nie zrobię. Jest w teatrze 10 aktorów i dwoje adeptów z paroletnim stażem. Wiem, że aby przepaść między impresariatem a naszą działalnością nie była zbyt wielka, musimy bazować na dobrej literaturze. Tymczasem zewsząd wywiera się na mnie presję, aby wystawiać wyłącznie sztuki łatwe, mało ambitne, ale za to śmieszne. Nie mam nic przeciwko farsie, ale nawet jeśli uda mi się ściągnąć reżysera-fachowca (a jest ich w Polsce niewielu) to skąd wziąć aktorów, którzy to zagrają? A obsady nie mamy nie tylko na farsę. Nie mamy jej właściwie na nic.

— Skoro tak, jak Pan zamierza niwelować tę przepaść między spektaklami własnymi i zapraszonymi?

— Tylko przez ciekawy problem, ukazany dobrą literaturą. Zresztą nie ma mowy o konkurencji, raczej o tym, aby nie spaść poniżej jakiegoś poziomu.

— A otwierający sezon „Koniec ery Menclików” to Pana zdaniem dobra literatura?

— To jest przejściówka, pod którą się nie podpisuję. Dosłownie, wystawiono ją bez swojego nazwiska na afiszu, za co wszyscy się na mnie obrazili. W każdym razie to nie mój program. Mój jest zresztą minimalny: mówić o sprawach, które obchodzą, coś przypomnieć, może czegoś nauczyć. Sztukami Grochowiaka, Myślińskiego, Gombrowicza. Mam kolegów z mojego pokolenia, mógłbym ich tu sprowadzić. Ale oni chcą robić premiery Becketta, Geneta. Zrezygnowałem — nie mam na to publiczności. Odrzuciłem sennie wizje, wybrałem teatr przyzwoity, akademicki, o klarownych problemach. Trochę na zasadzie: dla każdego coś: dla ucznia, licealista, dziecka, robotnika, inteligenta. W sytuacji ciągłego „być albo nie być” teatru musimy działać według recept najprostszych. Jeśli i to się nie sprawdzi, to może lepiej zlikwidować zespół, pozostając tylko przy impresariacie.

— Nie ma Pan wiarę?

— A. Pani liczy, że ten mariaż przetrwa?

— Gdyby tak nie było, nie optowałabym wielokrotnie za połączeniem obydwu form. Wydaje mi się, że rozbudzenie pewnego snobizmu wokół budynku teatru, w którym prezentowane będą spektakle znane, w wykonaniu wybitnych aktorów

— Niewiele, a w dodatku już od początku wszystko się po trosze sypie. Przesunęła się premiera „Świętoszka”, którego chcę wystawić jako rzecz o obudzie bajkę Szwarca „Królowa śniegu” trzeba będzie zamienić na Ferdynanda Wspaniałego” Kerna. Nie odbędzie się zaplanowana premiera „Matki” Witkacego, bowiem aktor, który miał grać rolę Leona nie dotarł do zespołu, zaś grudziądzka wykonawczyni odmówiła zagrać roli tytułowej. Zatem dopiero po „Świętoszku” będę w stanie ułożyć repertuar. Myślałem o „Szachach” albo „Po tamtej stronie światek” Grochowiaka, o „Szczęśliwej przystani” Ardena „Onych” Witkacego. Jak Pani widzi, będzie to — bo musi — sezon rozpoznania siebie i przeciwnika.

— A kogo Pan zaprasza?

— Na początek „Vatzlava” Mroźka z Teatru „Wybrzeże”, potem Teatr Współczesny ze Szczecina z „Wysockim” Zawistowskiego. Pertraktuję z Hübnerem o „Iwonę księżniczkę Burgunda” i z Englertem o komedię „Jak się kochają”. Mogę tylko powiedzieć, że nie uzyskałem jeszcze odpowiedzi pozytywnej, ale odmownej także nie. W przyszłości myślę o „Synu marnotrawnym” w reżyserii Hanuszkiewicza i „Edukacji Riży” z Jandą. Muszę jednak najpierw sprawdzić jak impresariat będzie funkcjonował, jak działać będzie organizacja, czy przedstawienia wzbudzą zainteresowanie widzów.

— Wracając do zespołu. Czy ma Pan reżyserów, scenografów?

— Na pewno w tym sezonie reżyserować będą: Wanda Laskowska, Jowita Piękiewicz i Marek Chelminiak. Scenografię projektować: Jerzy Rudzki, Andrzej Markowicz i Jacek Ukleja.

— Także Pan. Proszę się czytelnikom przedstawić.

— Mam 34 lata, reżyserem jestem od lat siedmiu. Pracowałem w Tarnowie, Katowicach, Zielonej Górze, Gorzowie, Łodzi, Wrocławiu. Wyreżyserowałem m.in. „Skapca” i „Świętoszka” Moliera, „Solo na zegar z kurantem” Zahradnika, „Chłopców” Grochowiaka, „Marne wygrane” Quintera, „Prawdomównego kłamcę” Gorina, „Wachlarz” Goldoniego.

— Dziękuję Panu za rozmowę.

— Skoro ma to być rozmowa, to może ja jeszcze o coś zapytam. Stawiam w pierwszym sezonie na rozpoznanie i przetrwanie. Co więcej — przy takim założeniu — powinienem wiedzieć, a czego zdaniem Pani, która zna ten teatr, jeszcze nie wiem?

— Wie Pan, że będą trudności. I o tym jak uwarunkowania są rozległe i splecione. Nie wie Pan chyba, że może się zdarzyć, iż kopląc w ogródku zerwie Pan np. kabel przygotowujący, choć zamierzał Pan tylko przygotować grunt.

— Bardzo to wieloznacznie brzmi. Ale — dziękuję.

Rozmawiała: JADWIGA OLERADZKA